



MARC LEVY

POWTÓRKA

GDYBY NICHOLAS SPARKS PISAŁ THRILLERY...

1

Wtopić się w tłum, odegrać tę dramatyczną rolę tak, żeby nikt niczego nie zauważył, nie zapamiętał...

Dres, doskonałe ubranie, żeby przejść i nie zostać zauważonym. W River Parku o siódmej rano biegają wszyscy. W mieście, w którym liczy się każda minuta, a nerwy wystawiane są raz po raz na ciężką próbę, ludzie biegają, żeby zachować formę, wymazać skutki zbyt długiej imprezy, zapobiec stresowi nadchodzącego dnia.

• • •

Ławka: postawić na niej stopę, że niby zawiązujesz sznurowadło, i czekać, aż cel się zbliży. Kaptur przysłania widok, ale skrywa również twarz. Wykorzystać tę chwilę na odpoczynek. Uwaga! Ręka nie może drżeć. Pot nie przeszkadza, tu wszyscy się pocą.

Kiedy ofiara się pojawi, trzeba pozwolić jej biec, ruszyć za nią drobnym krokiem po dłuższej chwili. Zachować dystans.

Scena była powtarzana siedem razy, co rano przez tydzień,

zawsze o tej samej godzinie. Za każdym razem pokusa, żeby przekroczyć próg, była coraz silniejsza. Ale sukces zależał od dobrego przygotowania. Nie ma miejsca na pomyłki.

I oto nadszedł długo oczekiwany dzień. Ofiara schodzi Charles Street w kierunku parku, wierna swojej rutynie czeka na czerwone światło, żeby przeskoczyć przez pierwsze cztery pasy West Side Highway, po której zmierzający na północ sznur samochodów wiezie ludzi do pracy.

Ofiara wskakuje na wysepkę. Zielony ludzik na słupie z sygnalizatorem już miga ostrzegawczo. Powoli rusza gęsty strumień samochodów jadących w kierunku TriBeKa i dzielnicy finansowej. Mimo to mężczyzna wskakuje na jezdnię. Jak zwykle reaguje na klaksony uniesioną zaciśniętą pięścią z wystawionym palcem. Przebiegłszy na drugą stronę, gwałtownie skręca w lewo i wbiega na ścieżkę dla pieszych ciągnącą się wzdłuż rzeki Hudson.

Ofiara tak jak inni biegacze pokona dwadzieścia przecznic, z satysfakcją wyprzedzi tych w słabej formie, obsobaczy tych, którzy wyprzedzą jego, bo to żadna ich zasługa, są po prostu o dziesięć lub dwadzieścia lat młodszy. Kiedy on miał osiemnaście lat, te okolice nie nadawały się do spacerów, ale i tak zaczął tu biegać jako jeden z pierwszych. Od strony odgrodzonych palami doków śmierdziało rybami i rdzą. Pali już prawie nie ma, tak jak i nie czuć już krwi, której zapach unosił się wówczas nad rzeką. Jak bardzo jego miasto zmieniło się w ciągu dwudziestu lat, jak odmłodziło i wypiękniało! On odwrotnie, minione lata zaczęły zostawiać ślady na jego twarzy.

Wstawał dzień. W Hoboken i Jersey City po drugiej stronie rzeki powoli gasły światła.

Nie tracić celu z oczu; kiedy mężczyzna dobiegnie do skrzyżowania z Greenwich Street, zboczy ze ścieżki. Trzeba działać przedtem. Tego ranka ofiara nie zamówi swej mokki w Starbucksie.

Niezauważony przez nikogo, biegnący za nim cień dopadnie go na poziomie mola numer cztery.

. . .

Jeszcze jedna przecznica. Przyspieszyć, wtopić się w grupkę biegaczy tam, gdzie alejka się zwęża i gdzie ci powolniejsi blokują ścieżkę tym szybszym. Długa igła przesuwana pod rękawem, cień przytrzymuje ją dłonią zdecydowanym ruchem.

Musi uderzyć w punkt między kością krzyżową a ostatnim zębem. Szybkim ruchem tam i z powrotem, głęboko, żeby przebić nerkę i trafić w arterię brzuszną. Przy wyciąganiu igła pozostawi nieuleczalne rany, a zanim ktokolwiek się zorientuje, co się stało, zanim nadjedzie karetka, zanim ofiara trafi na salę operacyjną... Nawet na sygnale niełatwo dotrzeć do szpitala w porannym szczycie, kiedy ruch jest tak wielki, że kierowca karetki może tylko zżymać się ze swojej bezradności.

Dwa lata wcześniej zraniony mężczyzna miałby może szansę na ratunek. Od kiedy zamknięto szpital Saint Vincent i sprzedano teren inwestorom budowlanym, najbliższy ostry dyżur znajduje się we wschodniej części miasta, po przeciwnej stronie River Parku. Przy masywnym krwotoku wewnętrznym ofiara umrze, zanim tam dotrze.

Ranny nie będzie szczególnie cierpiał, po prostu będzie mu coraz zimniej. Pojawią się dreszcze, zniknie czucie w

kończynach, szczękaniem zębami uniemożliwi mu mówienie, a zresztą, co miałby powiedzieć? Że coś go zakłuło w plecach? To ci dopiero! Co to pomoże policji?

Morderstwa doskonale istnieją. Prawie każdy starszy policjant przyzna się do wiszącego nad nim ciężaru dawnych nierozwiązanych zbrodni.

Oto cień znalazł się w idealnej odległości. Setki razy trenował ten gest na worku z piaskiem, ale kiedy igła wbija się w ciało ludzkie, wrażenie jest zupełnie inne. Ważne, żeby nie trafić na kość. Uderzenie w kręgi lędźwiowe oznaczałoby klęskę. Igła ma się wbić i natychmiast cofnąć do rękawa.

Potem cień musi odbiec bez odwracania się, ma się wtopić w grupę innych biegaczy.

Tyle godzin przygotowań dla kilku sekund akcji.

Dłużej, bo około kwadransa, zajmie ofierze umieranie, ale pewne jest to, że tego ranka, około siódmej trzydzieści, Andrew Stilman zejdzie z tego świata.

2

Maj 2011

Andrew Stilman jest dziennikarzem, pracuje w „New York Timesie”. Zaczął jako szeregowy pracownik w wieku dwudziestu trzech lat i wytrwale wspinał się po szczeblach kariery. Legitymacja dziennikarska i praca w jednym z największych dzienników na świecie były marzeniem jego młodych lat. Codziennie rano, gdy Andrew przekracza próg podwójnych drzwi pod numerem osiemset sześćdziesiątym przy Ósmej Alei, spogląda w górę na napis, który zdobi fasadę budynku, myśląc z satysfakcją, że oto tutaj, w tej świątyni prasy, której progi tysiące gryzipiórków chciałoby przekroczyć przynajmniej raz, znajduje się jego biuro.

Po czterech latach przepracowanych w charakterze researchera Andrew awansuje na stanowisko zastępcy redaktora w dziale nekrologów. Jego poprzedniczka wpadła pod autobus, wychodząc z pracy. Znalazła się w ten sposób w rubryce, którą redagowała. Zbyt spieszyła się do domu, aby nie minąć się z kurierem z UPS, który miał przynieść jej paczkę z seksowną bielizną, zamówioną w internecie. Oto od czego zależy nasze życie!

Następne pięć lat Andrew Stilman spędził na żmudnej anonimowej pracy. Teksty zamieszczane w rubryce nekrologów nigdy nie są podpisane, ważniejszy od redaktora jest bowiem zmarły. Pięć lat spędzonych na pisaniu not biograficznych ludzi, którzy byli tylko wspomnieniem, nawet nieważne, dobrym czy złym... Tysiąc osiemset dwadzieścia pięć dni i prawie sześć tysięcy drinków — wytrawnego martini, wypijanego co wieczór między dziewiętnastą trzydzieści a dwudziestą piętnaście w barze hotelu Marriott przy Czterdziestej Ulicy.

Trzy oliwki na kieliszek i każda pestka wypluta do popielniczki pełnej niedopałków to była każdego wieczoru jego nagroda, mająca wymazać z mózgu pamięć o zgasłym życiu, którego skróconą wersję redagował danego dnia. Być może to bezustanne towarzystwo zmarłych pchnęło Andrew do nadużywania alkoholu. Czwartego roku pisania nekrologów wypijał w Marriocie już sześć kolejek dziennie. Często przychodził do biura błady i napuchnięty, z niedopiętym kołnierzykiem i w wymiętej marynarce. Na szczęście w boksach sal redakcyjnych dzienników w ogóle, a w jego dzienniku w szczególności, garnitur z krawatem i wykrochmalona koszula nie były absolutną koniecznością.

Czy to z powodu jego eleganckiego, starannego stylu, czy w rezultacie wyjątkowo upalnego lata, rubryki, które redagował, zajmowały teraz aż dwie pełne strony. Przygotowując podsumowanie kwartalne, biegły w statystykach analityk działu finansowego zauważył, że dochody z nekrologów niezwykle wzrosły. Rodziny w żałobie honorowały swoich zmarłych coraz dłuższymi wspomnieniami pośmiertnymi. Liczby, które robią wrażenie,

szybko obiegają całą firmę. Gdy na początku jesieni omawiano na zebraniu zarządu te rezultaty, przewidując dodatkowe wynagrodzenie dla ich autora, Andrew Stilman stracił wreszcie anonimowość. Został mianowany redaktorem, wciąż w tym samym dziale miejskim, ale tym razem w niedochodowej rubryce ślubów.

Andrew zawsze miał dużo ciekawych pomysłów, przestał więc przez jakiś czas chodzić do „swojego” baru, a zamiast tego zaczął odwiedzać modne kluby gejowskie. Nawiązując kontakt za kontaktem przy niezliczonych kieliszkach martini, rozdawał wszystkim swoje wizytówki. Rozповідаł przy tym na lewo i prawo, że jego rubryka chętnie opublikuje zawiadomienia o wszystkich związkach, nawet takich, o których nie chcą słyszeć inne gazety. Śluby homoseksualne nie były jeszcze legalne w stanie Nowy Jork, co to, to nie, ale nikt nie mógł zabronić prasie zamieszczać anonsów dotyczących nieformalnych związków, w końcu ważna jest intencja.

W ciągu trzech miesięcy rubryka ślubów rozrosła się do czterech pełnych stron w wydaniu niedzielnym, a pensja Andrew Stilmana nie pozostała w tyle.

Wówczas to Andrew Stilman postanowił ograniczyć spożycie alkoholu, bynajmniej nie w trosce o swoją wątrobę, ale dlatego, że kupił datsuna 240Z, o którym marzył od dziecka. Policja była obecnie nieprzejezdna, jeśli chodziło o przekroczenie dopuszczalnego poziomu alkoholu we krwi kierowcy, musiał więc wybrać, chłanie albo jazda. A że wprost przepadał za swoją nową bryką wspaniale wyremontowaną w warsztacie jego najlepszego przyjaciela, który specjalizował się w kolekcjonerskich autach... Jeśli

więc Andrew znów odwiedzał swój ulubiony bar w Marriottcie, nigdy nie wypijał więcej niż dwa drinki. Nigdy, z wyjątkiem czwartków.

. . .

I to właśnie w czwartek, kilka lat później, wychodząc z Marriotta, wpadł prosto na Valérie Ramsay. Była równie pijana jak on i gdy upadła na chodnik, potykając się o dystrybutor gazet, dostała ataku niepohamowanego śmiechu.

Andrew od razu ją rozpoznał, bynajmniej nie po rysach twarzy, które zmieniły się nie do poznania w ciągu ostatnich dwudziestu lat, kiedy to widział ją po raz ostatni, ale po tym niepohamowanym rechocie. Był to śmiech niezapomniany, wprawiający w drżenie biust Valérie Ramsay, którego obraz, poruszający do głębi, nawiedzał go regularnie przez cały okres dojrzewania.

Poznali się w college'u. Valérie, wyrzucona z zespołu cheerleaderek za idiotyczną kłótnię w szatni ze swoją szpanującą koleżanką, zapisała się do chóru. Andrew, który miał zwyrodnienie stawów kolanowych, zoperowanych lata później z powodu dziewczyny uwielbiającej tańczyć, był zwolniony z WF-u. On więc także w rezultacie wylądował w tym samym chórze.

Aż do ukończenia college'u flirtował z nią. Nie spali z sobą, ale gorliwie korzystali ze swoich języków i rąk. Andrew, pieszcząc obfite kształty Valérie, zaliczył szkołę podstawową seksu.

No i właśnie dzięki niej doświadczył pierwszego orgazmu nie z własnej dłoni. Któregoś wieczoru po meczu, gdy dokazując odważniej niż zwykle, dwa gołąbki ukryły się w

pustej szatni, Valérie zgodziła się w końcu wsunąć dłoń w dżinsy Andrew. Piętnaście sekund zawrotu głowy... Jej śmiech, wskutek którego piersi dziewczyny zachęcająco się unosiły, przedłużając tę ulotną przyjemność... Pierwszego razu nigdy się nie zapomina.

. . .

— Valérie? — wybełkotał Stilman.

— Ben? — odpowiedziała pytaniem Valérie, tak samo zdumiona jak on.

Nie mógł sobie w żaden sposób przypomnieć, dlaczego w college'u wołano na niego Ben. Od dwudziestu lat nikt się tak do niego nie zwracał.

Valérie, żeby usprawiedliwić swój żaloszny wygląd, oświadczyła, że wychodzi właśnie z babskiego wieczoru, jakiego nie przeżyła od czasów studiów. Andrew, który wyglądał podobnie, mruknął coś o podwyżce, nie precyzując, że otrzymał ją dwa lata wcześniej, ale czy zabronione jest fetować szczęśliwe wydarzenia z opóźnieniem?

— Co robisz w Nowym Jorku? — spytał Andrew.

— Mieszkam tu — odpowiedziała, gdy pomagał jej wstać.

— Od dawna?

— Od pewnego czasu, nie pytaj mnie odkąd, nie jestem w stanie policzyć w tym momencie. A co ty robisz?

— To, co zawsze chciałem robić. A ty?

— Dwadzieścia lat... To będzie długa historia... — odrzekła Valérie, otrzepując spódnice.

— Dziewięć linijek — westchnął Andrew.

— Co: „Dziewięć linijek”?

— Jeśli mi każesz, zmieszczę dwadzieścia lat twego życia

w dziewięciu liniijkach tekstu.

— Bzdury.

— Założysz się?

— Zależy o co.

— O kolację.

— Nie jestem sama, mam kogoś, Andrew — odpowiedziała szybko Valérie.

— Nie proponuję ci nocy w hotelu. Zupa z chińskimi pierożkami u Joe's Shanghai... Czy nadal szalejesz za pierożkami?

— Nadal.

— Możesz powiedzieć partnerowi, że umówiłaś się ze starą przyjaciółką.

— Musiałbyś najpierw faktycznie streścić dwadzieścia lat mego życia w dziewięciu liniijkach.

Valérie popatrzyła na Andrew z uśmieszkiem czającym się w kącikach ust, uśmiechała się już tak w czasach, gdy koledzy nazywali go Benem i kiedy proponowała mu spotkanie w szopie za budynkiem wydziału matematyczno-fizycznego. Uśmiech ten w ogóle się nie zestarzał.

— Zgoda! — rzekła. — Ostatni drink i opowiem ci swoje życie.

— Nie w tym barze, tu jest zbyt wielki hałas.

— No, jeśli wydaje ci się, że pójde do ciebie, to bardzo się mylisz.

— Valérie, to mi w ogóle nie przyszło na myśl, po prostu w stanie, w jakim oboje się znajdujemy, powinniśmy coś zjeść, bo inaczej nici z naszego zakładu.

Andrew miał rację. Mimo że od chwili, gdy pomógł jej

się podnieść, mocno wystukiwała rytm obcasami na brudnym chodniku Czterdziestej Ulicy, cały czas miała wrażenie, że chodzi po pokładzie kołyszącego się okrętu. Pomysł, żeby coś zjeść, był zupełnie niezły. Andrew zatrzymał taksówkę i podał kierowcy adres nocnego bistra w SoHo, do którego miał zwyczaj chodzić. Kwadrans później Valérie siedziała naprzeciw niego przy stoliku i opowiadała mu o sobie.

Otrzymała stypendium na Uniwersytecie Indiany. Była to pierwsza uczelnia, na którą złożyła podanie o przyjęcie i która najszybciej zaakceptowała jej kandydaturę. Środkowy Zachód nie był szczytem jej marzeń, ale nie mogła sobie pozwolić na długie oczekiwanie na odpowiedź bardziej prestiżowego uniwersytetu; gdyby nie przyjęła tej finansowej pomocy na studia, mogłaby jedynie liczyć na pracę kelnerki w jakimś barze w Poughkeepsie, tej dziurze na północy stanu Nowy Jork, w której oboje wyrosli.

Osiem lat później z dyplomem lekarza weterynarii w kieszeni Valérie opuściła Indianapolis i jak wiele ambitnych młodych kobiet urządziła się na Manhattanie.

— Skończyłaś weterynarię na Uniwersytecie Indiany, żeby wylądować w Nowym Jorku? — spytał Andrew.

— A dlaczego by nie? — odrzekła Valérie.

— To było twoje marzenie: obmacywać tyłki pudli?

— Ale z ciebie kretyń, Andrew!

— Nie chciałem cię zranić, ale przyznaj, że Manhattan to żadna egzotyka, jeśli chodzi o zwierzęta. Jaka jest twoja klientela, jeśli pominiemy pieski starych bab z Upper East Side?

— Byłbyś zdziwiony, jak ważną rolę spełniają zwierzęta domowe w mieście, które liczy dwa miliony singli.

— Rozumiem... Leczysz również chomiki, koty i złote rybki.

— Jestem weterynarzem policji konnej i leczę psy brygady kryminalnej, w której nie ma ani jednego pudła, tylko labradory do poszukiwania zwłok, kilka owczarków niemieckich bliskich emerytury, parę retrieverów wyspecjalizowanych w tropieniu ukrytych narkotyków i beagle'e szukające materiałów wybuchowych.

Andrew uniósł najpierw jedną brew, potem drugą. Nauczył się tego triku w szkole dziennikarskiej i zawsze zbijał nim z tropu rozmówców. Kiedy przeprowadzał wywiad i nie za bardzo wierzył w to, co słyszał, zaczynał ruszać brwiami i po reakcji wypytywanej osoby starał się ocenić, czy ona kłamie, czy nie. Ale twarz Valérie pozostała nieruchoma.

— Rzeczywiście, zupełnie nie spodziewałem się czegoś takiego — rzekł zdumiony. — Czy jesteś w policji, czy tylko pracujesz tam jako weterynarz? To znaczy, masz odznakę policyjną i nosisz przy sobie broń?

Valérie popatrzyła na niego przez chwilę nieruchomym wzrokiem, po czym wybuchła śmiechem.

— Widzę, że bardzo wydorostałeś, mój drogi Benie, od czasu, gdy widziałam cię ostatni raz.

— Wyglądałaś się?

— Nie, ale zrobiłeś taką minę, że od razu przypomniały mi się dawne czasy.

— Wcale mnie nie dziwi, że zostałeś weterynarzem — rzekł Andrew. — Zawsze uwielbiałaś zwierzęta. Kiedyś wieczorem zadzwoniłaś do mnie do domu, błagając, żebym natychmiast przeskoczył przez mur i przyszedł do ciebie. Myślałem, że tak bardzo mnie pragnęłaś, ale wcale nie!

Zmusiłaś mnie, bym poniósł starego, śmierdzącego psa ze złamaną łapą, którego znalazłaś przy drodze, wracając ze szkoły. Obudziliśmy weterynarza w środku nocy...

— Pamiętasz to, Andrew?

— Pamiętam wszystkie nasze historie, Valérie. A teraz, proszę, opowiedz mi dokładniej, co się wydarzyło między tym popołudniem, kiedy na próżno czekałem na ciebie pod kinem w Poughkeepsie, a dniem dzisiejszym, kiedy pojawiłaś się przede mną.

— W porannej poczcie znalazłam list z informacją, że zostałam przyjęta na Uniwersytet Indiany. Nie mogłam czekać ani dnia dłużej. Spakowałam się, a dzięki odłożonej forsie z tych wszystkich wakacyjnych prac i pilnowania dzieci mogłam opuścić dom i wyjechać z Poughkeepsie tego samego wieczoru. Spieszyło mi się, żeby jak najszybciej stamtąd zniknąć, żeby nigdy więcej nie być świadkiem awantur rodziców, którzy zresztą nie chcieli mnie nawet odprowadzić na dworzec autobusowy, wyobrażasz sobie? A ponieważ masz dla starej przyjaciółki tylko dziewięć linijek, oszczędzę ci szczegółów mego życia studenckiego. Kiedy przyjechałam do Nowego Jorku, podłapywałam fuchy w różnych przychodniach weterynaryjnych. Pewnego dnia odpowiedziałam na anons policji i zatrudnili mnie jako asystentkę. Od dwóch lat mam tytuł weterynarza policji stanu Nowy Jork.

Obok nich przeszła kelnerka i Andrew zamówił dwie kawy.

— W sumie fajnie, że jesteś weterynarzem w policji. Zredagowałem więcej nekrologów i zawiadomień o ślubach, niż możesz sobie wyobrazić, ale nigdy jeszcze nie zetknąłem się zawodowo, że tak powiem, z twoją profesją. Nie

wiedziałem nawet, że coś takiego istnieje.

— Oczywiście, że istnieje.

— Wiesz, że miałem do ciebie żal?

— O co?

— O to, że uciekłaś bez pożegnania.

— Byłeś i tak jedynym człowiekiem, któremu powiedziałam, że wyjadę, jak tylko nadarzy się okazja.

— Nie wziąłem tego na serio. Teraz, kiedy to mówisz, widzę, że wszystko to miało jednak sens.

— Jeszcze masz do mnie pretensję? — spytała Valérie kpiąco.

— Może powinienem, ale myślę, że sprawa uległa przedawnieniu.

— A ty? Czy naprawdę zostałeś dziennikarzem?

— Skąd wiesz?

— Spytałam, co robisz w życiu, a ty odpowiedziałeś: „To, co zawsze chciałem robić”. Przecież chciałeś być dziennikarzem.

— Pamiętasz to, Valérie Ramsay?

— Pamiętam wszystko, Andrew Stilmanie.

— Tak więc masz kogoś?

— Już późno... — westchnęła Valérie. — Muszę wracać. A poza tym, jeśli powiem ci za dużo, nigdy nie zmieścisz się w dziewięciu liniijkach.

Andrew uśmiechnął się przebiegle.

— Czy to znaczy, że zgadzasz się na kolację w Joe's Shanghai?

— Jeśli wygrasz zakład... Ja zawsze dotrzymuję słowa.

Szli w milczeniu pustymi ulicami SoHo aż do Szóstej Alei. Andrew wziął Valérie pod rękę, pomagając jej iść po

nierównym bruku starej dzielnicy.

Zatrzymał taksówkę, która jechała szeroką aleją, i przytrzymał drzwiczki, podczas gdy Valérie sadowała się na tylnym siedzeniu.

— Spotkanie ciebie było bardzo przyjemną niespodzianką, Valérie.

— Dla mnie również, Ben.

— Na jaki adres mam wysłać moje dziewięć linijek?

Valérie zaczęła grzebać w torebce, wyciągnęła z niej ołówek do brwi i poprosiła Andrew, żeby podał jej dłoń, na której zapisała mu swój numer telefonu.

— Dziewięć linijek możesz mi przysłać SMS-em. Dobranoc, Ben.

Andrew popatrzył za taksówką, odjeżdżającą na północ. Kiedy stracił samochód z oczu, poszedł pieszo do swego mieszkania, oddalonego o kwadrans drogi od miejsca, w którym się rozstali. Czuł potrzebę zachłyśnięcia się świeżym powietrzem. Mimo że od razu zapamiętał numer zapisany czarnym ołówkiem we wnętrzu dłoni, przez całą drogę powrotną do domu uważał, żeby jej niechcący nie zacisnąć.